

Prof. Ryszard Machnikowski: Ekipa Putina jest elastyczna [ROSJA]

Kreml czeka z interwencją na Ukrainie i w krajach nadbałtyckich do czasu ostatecznego załamania się porządku w Europie



Kreml czeka z interwencją na Ukrainie i w krajach nadbałtyckich do czasu ostatecznego załamania się porządku w Europie - o dzisiejszej Rosji i jej planach międzynarodowych z prof. Ryszardem Machnikowski rozmawia Jan Czerniecki

Jan Czerniecki (Teologia Polityczna): Mamy obecnie dwa konflikty, w które zaangażowana jest Rosja. Pierwszy na Ukrainie, który sprawia wrażenie pewnej stagnacji, drugi w Syrii, gdzie

Rosja prowadzi regularne działania militarne. Czy możemy mówić o pewnej nici, która łączy te dwa fronty? Co Rosja chce osiągnąć za pomocą zaangażowania w te wojny?

Prof. Ryszard Machnikowski: Chociaż lokalne okoliczności są ważne dla rozumienia obu rosyjskich interwencji wojskowych, to są one częścią większego planu rosyjskiego, jakim jest próba obalenia aktualnego (nie)porządku światowego zaistniałego po zakończeniu tzw. zimnej wojny. Rosjanie chcą budowy nowego, znacznie korzystniejszego dla siebie ładu, gdzie ich państwo będzie globalnym graczem.

Najpierw kilka słów o tych lokalnych powodach zaangażowania rosyjskiego w oba konflikty. Ukraina stała się miejscem konfrontacji dwóch żywiołów – niemieckiego, ukrytego za parawanem Unii Europejskiej, i oczywiście rosyjskiego. Rosja postrzega kontrolę nad wschodnią Ukrainą jako kwestię egzystencjalną – absolutnie nie może pozwolić, by terytorium to wymknęło jej się z rąk (kontrola nad Galicją nie jest już takim imperatywem). Jest to zrozumiałe i dość oczywiste, jeśli spojrzysz na mapę oczami Kremla – wschodnia Ukraina leży bardzo blisko Moskwy. Putin wielokrotnie zapraszał Niemcy do współpracy w dzieleniu się wpływami w Europie, ale przestrzegał jednocześnie, że istnieją nienaruszalne granice, których nikomu nie wolno przekraczać – jedną z takich granic jest państwo ukraińskie. Kreml postrzegał układ stowarzyszeniowy z UE jako otwarte naruszenie swojej wyłącznej strefy wpływów i wielokrotnie przed tym przestrzegał – nie dlatego, że obawia się Unii Europejskiej, czyli Niemiec, lecz dlatego, że stowarzyszenie, a w odległej przyszłości ewentualne członkostwo Ukrainy w UE, zbiegłoby się z członkostwem w NATO, w którym – w odróżnieniu od UE – w oczach rosyjskich polityków, wciąż

niepodzielnie władają Amerykanie. A Stany Zjednoczone są postrzegane w Moskwie jako jedyne realne zagrożenie dla realizacji przez Kreml swoich zamiarów.

Wizje amerykańskich antyrakiet rozlokowanych we wschodniej Ukrainie, czy NATO-wskiego portu w Sewastopolu, goszczącego amerykańskie okręty, nie mogły zyskać akceptacji w Moskwie. Na Kremlu zamieszki na Majdanie od początku były postrzegane jako sterowane z Zachodu – gdy ostatecznie upadła ekipa prezydenta Janukowycza – Putin nie widział innego wyjścia jak tylko działać – odebrał uważany za rosyjski Krym i wszczął rebelię na wschodniej Ukrainie, by poprzez działania wojenne zablokować „Zachodowi” (niemieckiej ekspansji ekonomicznej i amerykańskiej ekspansji militarnej) dostęp do granic Rosji. Wariant ten był już przecież skutecznie ćwiczony w Czeczenii, i to aż dwukrotnie, oraz w Gruzji w 2008 r. Prawie nikt wtedy nie wyciągnął prawidłowych wniosków z tych rosyjskich działań. Nikt nie zakładał, że Rosja będzie bronić państw buforowych, jeśli taka będzie potrzeba, przy użyciu sił zbrojnych, Zachód sądził, że te akcje były odstępstwem od domniemanej reguły, jaką miała być bezwarunkowa współpraca Rosji. I oczywiście srodze się pomylił. Taka jest „defensywna” narracja tłumacząca działania tego państwa. Ale jest również i „ofensywna”.

Rosja dostrzegła na Ukrainie znakomitą okazję do podważenia *status quo* w Europie. Poprzez swoją akcję militarną wykazała niemoc Niemiec, które musiały bezsilnie patrzeć na działania Kremla. Skompromitowała też sygnatariuszy Traktatu Budapeszteńskiego, czyli dawnych „gwarantów” niepodległości Ukrainy, przede wszystkim Stany Zjednoczone i Wielką Brytanię, pokazując że traktaty międzynarodowe mogą okazać się zwykłym świstkiem papieru. Moskwa przetestowała

także zdolności swojej armii do „niekonwencjonalnych” działań, i co najważniejsze – skonsolidowała Rosjan wokół Putina i jego ekipy. Podstawowym i absolutnym imperatywem rządu Władimira Putina jest bowiem bezterminowo trwać u władzy. Temu imperatywowi podporządkowana jest reszta – cała strategia i taktyka. Wszystko co pozwala trwać u władzy jest właściwe. Jeśli jakieś działania mogą to utrudnić nie są podejmowane lub są natychmiast korygowane. Ponadto, rosyjska akcja militarna na Ukrainie wzbudziła w Europie autentyczny strach, prowadzący do stawiania pytań „wejdą – nie wejdą”, a jeśli wejdą, to gdzie się zatrzymają? A ekipa Putina uwielbia karmić się strachem jaki budzi i poniżeniem, do którego ten strach prowadzi. Mało kto rozumie tę satysfakcję klanu kremlowskiego czerpaną z wzbudzania strachu i poniżania, nieraz całkiem otwartego, swoich przeciwników.

Wszystkie te działania zostały później powtórzone w Syrii. Na poziomie lokalnym Rosji chodzi oczywiście o utrzymanie reżimu Asada lub przynajmniej państewka Alawitów, a więc także swoich baz wojskowych i wpływów, oczywiście w sojuszu z Iranem. Kreml testuje także zdolności swojej armii, szczególnie w zakresie przerzutu masy wojska i sprzętu na odległy obszar, oraz wzmacnia konsolidację narodu rosyjskiego wokół swego przywódcy. I to się wszystko znakomicie, jak na razie, udaje. Ale w wymiarze ogólnym, militarna akcja w Syrii jest kolejnym uderzeniem w walący się dawny porządek światowy. Tym razem cios został zadany na Bliskim Wschodzie. Oczywiście, Rosja samodzielnie nie jest w stanie dokonać tej destrukcji, ale może ją wzmacniać i przyspieszać. Dokonuje jej natomiast sam Zachód. Poprzez amerykańską interwencję w Afganistanie i Iraku, a potem obalenie Kadafiego i wsparcie dla rebelii w Syrii zniszczono – bezpowrotnie w moim przekonaniu – dawny porządek na Bliskim Wschodzie, w Północnej Afryce i Azji Środkowej. Z kolei to decyzja kanclerz Niemiec o przyjmowaniu mas imigrantów z tamtych regionów wywołała bardzo

poważny kryzys społeczno-polityczny w Europie Zachodniej, którego ostatecznych skutków jeszcze nie poznaliśmy, ale z pewnością będą one doniosłe.

Zachód wstąpił, sądzi się (chyba słusznie) na Kremlu, na drogę do samozniszczenia, co postanowiono wykorzystać, by realizować swoje interesy. Zatem w Syrii Amerykanie, Brytyjczycy i Francuzi, a także Turcy i Arabowie, bezsilnie patrzyli na przybycie kontyngentu rosyjskiego, a następnie jego działania, które uniemożliwiają realizację planów tych podmiotów wobec tej części świata. O ile więc, mówiąc wyłącznie metaforycznie – Ukraina była Czechosłowacją '38, to wojna w Syrii jest metaforycznym odpowiednikiem wojny w Hiszpanii. Rosja znów pokazała, że jest w stanie skutecznie bronić swoich interesów metodami militarnymi, czy to w obszarze „bliskiej zagranicy”, czy też znacznie dalej. Jednocześnie Putin zademonstrował, że potrafi uderzać w walący się porządek światowy. Warto zwrócić w tym kontekście uwagę na tytuł ubiegłorocznej konferencji wałdajskiej oraz najnowszy film o prezydencie Rosji. Zatem nić łącząca oba te wydarzenia jest bardzo mocna i stanowi osnowę działań rosyjskich w obronie własnych interesów. Jest też elementem dezintegracji światowego postzimnowojennego *status quo*. Na jego gruzach ma narodzić się nowy porządek, z Rosją jako jednym z głównych globalnych rozgrywających.

Nie od dziś wiadomo, że Rosja jest bardziej zainteresowana umocnieniem reżimu Baszszara al-Asada niż rozwiązaniem kwestii zagrożenia Państwa Islamskiego. Dlaczego Putin postanowił wziąć udział walce koalicji przeciw IS?

Poprzez ucieczkę do przodu w Syrii Putinowi udało się zakończyć okres relatywnej izolacji Rosji na arenie międzynarodowej – nie dało się już dłużej udawać, że od Rosji nic nie zależy. Jednak Putin jedynie chciał stworzyć wrażenie, częściowo na potrzeby zachodnioeuropejskiej, ale przede wszystkim własnej opinii publicznej, że działa wspólnie z Zachodem przeciwko IS, a zatem Rosja powinna być postrzegana jako istotny sojusznik w walce z IS, gdy tymczasem w rzeczywistości Rosja stworzyła tam własną koalicję. Należy do niej Iran, irański sojusznik w Libanie, czyli *Hizballah*, a także szyicki rząd w Bagdadzie. Rosja opowiedziała się więc po stronie szyitów w ich odwiecznym sporze z sunnitami w tym regionie świata. Tak więc powstała z udziałem Rosji antysunnicka koalicja jest skierowana nie tylko, a nawet nie przede wszystkim przeciw IS, ale przeciwko arabskim sojusznikom Zachodu, głównie przeciw Arabii Saudyjskiej oraz Turcji, która jest niezależnym graczem i ma własne plany związane z transformacją tego regionu. Należy dodać, że ta transformacja dzieje się na naszych oczach. Stawiając w tej rozgrywce na szyitów oraz Persów, Rosja skonfliktowała się z sunnicką arabską ludnością tego regionu, co ma określone skutki – spadek cen ropy powodowany polityką najważniejszego państwa sunnitów w regionie, czyli Arabii Saudyjskiej. Daje to negatywne skutki gospodarcze w postaci topniejących środków ze sprzedaży paliw kopalnych, wpływających do budżetu Rosji.

Skonfliktowanie z Niemcami i USA doprowadziło do nałożenia sankcji gospodarczych na Rosję, z kolei uderzenie w Arabię Saudyjską – gwałtowny spadek wpływów do budżetu. Jednak ekipa Putina najwyraźniej wciąż uważa, że cena ta jest warta zapłacenia, gdyż dzięki swoim działaniom dalej może rozbijać stary porządek, co otwiera szansę na powstanie nowego ładu – tak w Europie, jak i na Bliskim Wschodzie. Rosyjskie naloty zwiększają, mówiąc elegancko, „presję

demograficzną” na Europę, pogłębiając kryzys, który jest narzędziem transformacji na Starym Kontynencie, tak jak kryzys wywołany przez powstanie Państwa Islamskiego stał się narzędziem zmiany na Bliskim Wschodzie. Rosja liczy, że gdy te dwa porządki ostatecznie pękną, sankcje zostaną zniesione, a cena ropy wróci do normy. Sądzę więc, że Rosja będzie starała się wywierać presję na Arabię Saudyjską, być może poprzez próbę przekierowania sił Państwa Islamskiego w kierunku południowym, by skierować je przeciwko Saudom. Jeśli uzyska wsparcie Iranu, staje się to realne. Iran ma swój „rachunek krzywd” w rywalizacji z Arabią Saudyjską, więc panuje tu daleko idąca wspólnota interesów między tymi dwoma państwami. „Uchodźcy” zatem będą nadal kierowani na północ, do Europy, by wzmóc presję na Berlin, a Państwo Islamskie na południe, na Mekkę i Medynę, by oddziaływać na Rijad.

Całkiem niedawno mieliśmy ciekawą konfrontację siły pomiędzy państwem należącym do NATO – Turcją a Rosją, gdy doszło do zestrzelenia rosyjskiego samolotu. Czy ta sprawa może pokazywać głębsze napięcie między oboma krajami i ich zaangażowaniem w regionie?

Oczywiście. Choć trzeba zaznaczyć, że NATO jest już wyłącznie papierowym sojuszem, który w chwili poważnej próby gwałtownie by się podzielił. Turcja prezydenta Erdogana stanowi całkowicie samodzielny podmiot, który wykorzystuje członkostwo w NATO do realizacji własnych, suwerennych planów wobec regionu. Turcja i Rosja mają rozbieżne plany wobec tego regionu, zatem napięcia między nimi są całkowicie zrozumiałe. Choć warto zauważyć, że przez jakiś czas blisko ze sobą współpracowały, zwłaszcza w przedsięwzięciach gospodarczych. Dramatyczna rozgrywka na Bliskim Wschodzie ujawniła jednak rozbieżne interesy obu tych podmiotów. Oba te kraje

prowadzą politykę neoimperialną, licząc na korzystne nowe rozdzienie i ekspansję w swoim otoczeniu – oczywiście dla Rosji najważniejsza jest Europa, a Bliski Wschód pełni rolę pomocniczą, a dla Turcji jest odwrotnie. Niemniej jednak konflikt w Syrii, gdzie oba te państwa stanęły po przeciwnych stronach musiał zakończyć się jakimś incydentem. Będzie on miał zresztą znaczące konsekwencje w najbliższej przyszłości. Pewnie Rosjanie w odwecie zestrzelą kiedyś jakiś turecki samolot, zatopią statek lub przyczynią się do zamachów terrorystycznych w Turcji, i tak to będzie się kręciło.

Wróćmy do konfliktu na Ukrainie. Jakim Pańskim zdaniem rysują się możliwe scenariusze rozwoju sytuacji?

To zależy w głównej mierze od rozwoju sytuacji w Europie i na świecie, gdyż ekipa Putina jest elastyczna i dostosowuje się do zmieniającej się, ostatnimi czasy, niezwykle szybko sytuacji. Jak mówiłem, pierwszoplanowym jej celem jest utrzymanie się u władzy w Rosji, więc unika się czynienia czegokolwiek, co mogłoby temu zagrozić. Następnie idzie chęć dokonania transformacji porządku światowego i europejskiego, by poprawić pozycję Rosji, głównie kosztem wpływów amerykańskich. Oczywiście Rosja jest zbyt słaba, by samodzielnie kształtować rozwój sytuacji, ale umiejętnie wpisuje się w istniejący stan rzeczy. Prezydent Putin, jeśli to tylko okaże się dla niego korzystne, będzie z wprawą dolewał benzyny do ognisk zapalnych na Ukrainie i w Syrii. W tej chwili zajęty jest podsycaniem konfliktu bliskowschodniego i pośrednio, zachodnioeuropejskiego, więc „zamroził” konflikt na wschodniej Ukrainie, celem przekonania Zachodu do zniesienia sankcji gospodarczych. Tak długo, jak będzie to konieczne, konflikt ten będzie pozostawał w uśpieniu – chwilowo jego efekty, poza oczywiście sankcjami, spełniają zakładane cele Kremla.

Integracja Ukrainy z Europą Zachodnią została dość skutecznie powstrzymana, a jej droga do NATO zastopowana. Zresztą Rosja zauważyła, że *de facto* tego sojuszu już nie ma, więc zagrożenie z jego strony nie jest tak istotne, z jej punktu widzenia. Paradoksalnie, to jest właśnie powód wpisania tej organizacji do nowej doktryny wojennej Rosji jako... zagrożenia. Rosja boi się tylko ewentualnych działań USA. Zatem możemy spodziewać się od czasu do czasu lekkiego „depnięcia w gaz” na Ukrainie, w postaci np. prowokacji zbrojnych, które przełożą się na „deeskalację” konfliktu – to będzie funkcją relacji Kremla z Europą Zachodnią, celem „normalizacji” wzajemnych stosunków. Jak widzimy, postulat ten zyskuje coraz większą akceptację wśród zachodnich liderów i chyba tylko kanclerz Angela Merkel jest temu wciąż przeciwna, ale jej dni są już, zdaje się, policzone. Oczywiście, gdyby doszło do fundamentalnego załamania się porządku w Zachodniej Europie, czyli jakichś walk między ludnością autochtoniczną a napływową, Rosja jest – jak sądzę – przygotowana do szybkiego zdyskontowania tej okazji i zbrojnego zajęcia Ukrainy oraz państw nadbałtyckich. Tak długo jednak, jak dotychczasowe reżimy zachodnioeuropejskie się utrzymują, tak długo na Ukrainie będzie panował „pokój”, jeśli można tak określić obecną sytuację. Kraje nadbałtyckie będą mogły zaś czuć się „bezpieczne”.

Czy sprawa aneksji Krymu będzie jeszcze odgrywała rolę w kontaktach krajów UE oraz USA z Rosją?

Nie sądzę, by była to rola istotna. W przypadku USA wiele zależy od tego, kto będzie następnym prezydentem tego kraju, czego dziś nie sposób przewidzieć. Można jednak sobie wyobrazić taką ekipę w Białym Domu, która zechce wykorzystać sprawę Krymu jako jeden z

instrumentów nacisku na Moskwę. Natomiast w Europie jest to niemal nie do pomyślenia – dzisiejsze, umiarkowane prorosyjskie rządy mogą, co najwyżej zostać zastąpione w przyszłości jeszcze bardziej prorosyjskimi, zatem sprawa Krymu nie będzie tam nagłaśniana. W tej kwestii na zachodzie Europy panowało zresztą już dawno daleko idące „zrozumienie” dla Rosji..

Czy Pańskim zdaniem Władimir Putin będzie dążył do dalszej eskalacji konfliktu w tej części Europy? Co może się stać z krajami bałtyckimi?

Kreml czeka z interwencją na Ukrainie i w krajach nadbałtyckich do czasu ostatecznego załamania się porządku w Europie. Jeśli do tego dojdzie, będzie starał się co najmniej odbudować europejskie granice ZSRR, włączając w to Ukrainę i kraje nadbałtyckie. Jednak jeśli Europa wyjdzie z kryzysu, który zgotowała jej kanclerz Angela Merkel, Putin będzie starał się wynegocjować z Niemcami możliwy *modus vivendi* na Ukrainie – najprawdopodobniej gwarantujący Rosji jakąś formę kontroli nad terenami położonymi na wschód od Dniepru, w postaci np. „federalizacji” tego państwa. Ważne stanie się wtedy również uniemożliwienie stacjonowania realnych sił NATO, czytaj amerykańskich, w krajach nadbałtyckich. Putin z pewnością liczy w tej kwestii na jednoznaczny niemiecki sprzeciw. „Pribałtiki” mają zresztą znaczenie wyłącznie symboliczne dla Rosji. Ich przynależność do NATO, bez możliwości realnej obrony przed ewentualną inwazją rosyjską, tak jak w tej chwili, jest całkowicie do zaakceptowania na Kremlu.

Istotą planów Rosji jest doprowadzenie do „koncertu mocarstw” – rosyjskiego i niemieckiego w Europie, który wypracuje wzajemnie korzystny porządek. Oczywiście, jeśli partner niemiecki popadnie w wewnętrzne, sprokurowane przez siebie tarapaty, Putin natychmiast to wykorzysta, by realnie przesunąć granice bezpośredniej kontroli Rosji w Europie Środkowej i Wschodniej.

Jak Pańskim zdaniem putinowska Rosja zareaguje na próby zbudowania koalicji państw Międzymorza?

Oczywiście negatywnie, gdyż jest to projekt, który stawia sobie za cel powstrzymanie ekspansji rosyjskiej w kierunku zachodnim. Moskwa bardzo liczy tu na partnerską pomoc Berlina – będzie cicho wspierać wszelkie działania niemieckie, mające na celu ostateczne wybitcie z głowy Polakom jakichkolwiek pomysłów na odegranie samodzielnej roli w polityce tej części Europy. Plany te stoją więc w sprzeczności nie tylko z zamierzeniami rosyjskich, ale też i niemieckich elit władzy oraz pieniądza, co widać dziś już bardzo wyraźnie.

Koncepcja zbudowania, nawet nieformalnego, sojuszu państw zagrożonych przez Rosję – w pasie od Szwecji na północy po Bułgarię, lub przynajmniej Rumunię, na południu; w domyśle wspieranego mniej lub bardziej zakulisowo przez USA i zapewne Wielką Brytanię, stoi w oczywistej opozycji do planów stworzenia porządku europejskiego i szerszej światowego, w którym nie ma miejsca dla Amerykanów ani innych – względnie suwerennych – podmiotów, poza niemieckim i rosyjskim *dominium*. To znajdziemy przecież u Dugina. Współpraca z „rozumiejącymi Rosję” elitami niemieckimi jest jej podstawą,

oczywiście tak długo, jak istnieją potężne Niemcy, co staje dziś pod pewnym znakiem zapytania. Myślę jednak, że na Kremlu zakłada się, że Berlin w końcu rozwiąże problem imigrantów i wróci do europejskiej gry, z o wiele bardziej otwarcie wyrażanymi ambicjami, czy nawet i pretensjami, które w tej chwili jeszcze nie są artykułowane. Zatem stworzenie buforu między Rosją a Niemcami, niepodlegającego kontroli ze strony tych państw, a którego patronem są USA, jest nie do przyjęcia, tak dla Moskwy, jak i dla Berlina. Putin liczy zapewne na korzystny wynik wyborów w USA i wycofanie się do reszty Amerykanów z uczestnictwa w europejskiej polityce. Miałoby to nastąpić poprzez budowę proamerykańskiej „koalicji chętnych”. Ideałem dla Rosji jest tu każdy izolacjonistyczny polityk kontynuujący linię (braku) działań prezydenta Obamy. Jeśli jednak te nadzieje nie zostaną spełnione, możemy spodziewać się zaistnienia jakiejś formy współpracy rosyjsko-niemieckiej, by nie dopuścić do powstania wspieranego przez USA sojuszu grupy państw skandynawskich, bałtyckich, środkowoeuropejskich (aż po wschodnie Bałkany), ignorującego wolę polityczną Berlina i Moskwy. W każdym możliwym przypadku rozwoju sytuacji w Europie, czekają nas bardzo ciekawe czasy.

Cały czas mówi się o przestawianiu albo właściwie nowym meblowaniu porządku światowego. Widać tu dużą rolę relacji Niemiec i Rosji – chyba moglibyśmy zaryzykować tezę, że kolejna nitka magistrali Nord Stream jest gospodarczą emanacją pewnej współpracy politycznej pomiędzy naszym zachodnim i wschodnim sąsiadem?

Dokładnie tak jest. Zarówno pierwsza, jak i druga nitka rurociągu Nord Stream jest znakomitym symbolem bliskiej współpracy Rosji i Niemiec w tworzeniu nowego porządku europejskiego. Ale trzeba zauważyć, że

ta współpraca wcale nie jest tak harmonijna, jak ją ukazują niektórzy. Zarówno elity rosyjskie, jak i niemieckie, bardzo liczą na sojusz. Jednak konflikt na Ukrainie wydatnie ewentualne porozumienie osłabił.

Moskwa zareagowała gwałtownie na brutalne niemieckie wtargnięcie w wyłączną, jak sądzi się na Kremlu, rosyjską strefę wpływów i możliwą groźbę przywleczenia w ten region amerykańskiej „zarazy”, czyli NATO. To musiało zaskoczyć Berlin. Z kolei politycy w Moskwie nie spodziewali się poparcia przez Niemcy, w odwecie, amerykańskich propozycji sankcji wobec Rosji. Obecnie stosunki rosyjsko-niemieckie są dość napięte, czego dowodem jest choćby incydent z żądaniem wyjaśnienia sprawy młodej Rosjanki, która miała być rzekomo zgwałcona przez imigrantów. Nie miejmy jednak złudzeń – możemy się spodziewać długoterminowej współpracy rosyjsko-niemieckiej w „meblowaniu” na nowo, jak Pan to określa, porządku europejskiego. Chyba że wcześniej załamię się porządek w samej Rosji i Rosjanie zajmą się własnymi sprawami wewnętrznymi. Trzeba bowiem pamiętać, że wszystkie te bardziej czy mniej wyrafinowane manewry rosyjskiej dyplomacji, wspierane siłą militarną, są możliwe tak długo, jak długo utrzyma się w Moskwie Putinowski reżim. Ten jest jednak coraz poważniej nadwyrężony konfliktem z Zachodem i Arabią Saudyjską. Wycieńcza to rosyjską gospodarkę. W Rosji trwa teraz oczekiwanie na rezultat zaciętej walki telewizora z lodówką. Jeśli porządku europejski (poprzez kryzys imigracyjny) i bliskowschodni (poprzez działania Państwa Islamskiego) ostatecznie się załamią zanim w Moskwie dojdzie do zmiany reżimu, czy to metodą przewrotu pałacowego (moim zdaniem bardziej prawdopodobnego), czy w kryterium ulicznym, Putin wyjdzie zwycięsko z tej rozgrywki. Jeśli jednak dojdzie do sytuacji, w której elity rządzące dziś Rosją będą musiały z wyprzedzeniem dokonać spektakularnej zmiany lidera, by zapobiec kryterium ulicznemu, lub wręcz dojdzie tam do buntu

społecznego z powodu pogarszających się raptownie warunków życia, Putin będzie ofiarą swojej polityki. Co będzie potem to wielka niewiadoma.

Mam jeszcze pytanie o Pańskie zdanie na temat aktywności USA w omawianych regionach. Czy nie jest tak, że Rosja ma możliwość zmiany ładu w tej części Europy i Azji (Bliski Wschód), ponieważ w Waszyngtonie zapadła decyzja o tzw. pivocie na Pacyfik? Stany Zjednoczone zdają się wycofywać z Europy i Bliskiego Wschodu, angażując swoje siły w szykujący się w Chinach kierunek globalnego przewartościowania dotychczasowej geopolitycznej układanki (jedwabny szklak)? Wygląda na to, że USA nie chce baz w Polsce, ponieważ stałyby się one zakładnikiem regionalnej polityki naszego kraju, zaś Amerykanie wiedzą, że w tym momencie potrzebują koncentracji na Oceanie Spokojnym? Czy skoro główny powojenny żandarm układu międzynarodowego abdykuje, nie tworzy się tu dla nas niebezpieczna pustka?

Uważam, że tzw. pivot na Pacyfik jest mocno przereklamowany. To nie realna polityka amerykańska, lecz jedynie wymówka, by USA wygodnie mogły tłumaczyć swoim sojusznikom, od Wielkiej Brytanii po Izrael, dlaczego nic nie robią i nie reagują na zachodzące zmiany w innych częściach świata. A ten brak reakcji tylko te zmiany przyspiesza. Stany Zjednoczone nie potrzebują w tej chwili jakiegś znacząco większej koncentracji siły na Pacyfiku, gdyż Chiny w dalszym ciągu nie są tam ofensywnym rywalem militarnym dla Ameryki. Musi jeszcze upłynąć co najmniej dekada, by chińskie siły zbrojne stanowiły realne zagrożenie dla sił amerykańskich i egzystencjalnych interesów amerykańskich w tym regionie. A nawet wtedy nie jest pewne, czy Chińczycy będą chcieli destabilizować sytuację na Dalekim Wschodzie, w tym drogą zbrojną.

Chiny to najbardziej racjonalny gracz w obecnej polityce światowej, twardo stojący na ziemi i trzeźwo kalkulujący. Oczywiście kraj ten będzie rozbudowywał swą siłę militarną na wypadek, gdyby amerykański hegemon tak osłabł lub stracił chęć do jakiegokolwiek działania, że nie pozostanie Chinom nic innego, jak tylko wypełnić próżnię po USA. Ale to dopiero pieśń przyszłości. Trzeba pamiętać o specyfice chińskiej elity władzy – ona jest bardzo ostrożna i zanim podejmie jakąś nieodwracalną decyzję, co najmniej pięć razy ją przemyśli, starając się przewidzieć możliwe konsekwencje, w tym negatywne. Jest to, nawiasem mówiąc, odwrotność postępowania ekipy Putina. USA wycofuje się z Europy i Bliskiego Wschodu nie dlatego, że nagle potrzebuje tych sił na Pacyfiku. Bliski Wschód stracił zainteresowanie Waszyngtonu, bo tylko jedna rzecz była tam interesująca – ropa. Od kiedy USA znów stały się krajem samowystarczalnym energetycznie, zainteresowanie licznymi egzotycznymi konfliktami regionalnymi – w których trzeba było kiedyś uczestniczyć, by surowiec płynął – znacznie spadło. Stany Zjednoczone są zainteresowane tym regionem tylko jako źródłem potencjalnych niebezpieczeństw dla własnego terytorium, czytaj, rozsądnikiem terroryzmu. Ponieważ w tej chwili Amerykanie uważają, że mają rzecz pod jaką taką kontrolą, powstrzymują się od interwencji.

Europa straciła na znaczeniu ćwierć wieku temu, gdy doszło do zakończenia zimnej wojny. Rosja nie jest dziś w USA postrzegana jako zagrożenie tego typu, jakim była w latach 1945–1990. Jedyne imperatyw to istnienie tam stabilnego reżimu politycznego, kontrolującego broń jądrową (ostatni wymiar dawnej rosyjskiej potęgi w dzisiejszych czasach). Każdy porządek to gwarantujący znajdzie akceptację w Białym Domu. Z kolei UE była postrzegana jako globalny rywal ekonomiczny USA – zatem im słabsza będzie ten związek, tym

dla Waszyngtonu lepiej. Jeśli nawet doszłoby do jej rozpadu i „koncertu mocarstw” w Europie – skutkującego podziałem stref wpływów między Niemcy i Rosję – USA to zapewne zaakceptuje. Same Niemcy i sama Rosja nie są bowiem zagrożeniem dla Ameryki. Dlatego też Waszyngton nie widzi dziś potrzeby aktywnej ingerencji w europejski bałagan, gdyż niczym poważnym on Ameryce nie grozi. Polityka Obamy, czyli *don't do stupid things* jest w tym sensie racjonalna. Czemu amerykańscy żołnierze mieliby ginąć tysiące kilometrów od swej ojczyzny, jeśli ich śmierć nie przynosiłaby jej czegoś dobrego lub pożądanego?

A jak w tej obecnej sytuacji może postępować Polska? W grudniu zeszłego roku głównodowodzący sił lądowych USA w Europie gen. Ben Hodges wskazał na przesmyk suwalski na pograniczu Polski i Litwy, jako jeden z zapalnych punktów na mapie Europy. Czy Polska jest przygotowana do reorganizacji sił na swoim terytorium, i czy te słowa będą skutkowały wzmocnieniem naszego terytorium przez wojska sojuszu?

Generałowie lubią rozprawiać o możliwych operacjach wojennych, ja nie wierzę jednak, że do wariantu, o którym wspomina gen. Hodges kiedykolwiek dojdzie. Oczywiście, bardzo chciałbym, żeby w Polsce stacjonowały dwie amerykańskie ciężkie brygady, wzmocnione przez śmigłowce AH-64 Apacz i samoloty A-10 Guziec, ale obawiam się, że to nierealne. Powinniśmy być zadowoleni, jeśli efektem szczytu NATO w Warszawie będzie znacząca stała „rotacyjna” obecność wojsk NATO-wskich na skalę przynajmniej jednej brygady.

Przestrzegałbym przed „pompowaniem” nadziei przed szczytem, bo mogą się nie spełnić. Myślę, że oczekiwania, że Zachód, którego jesteśmy właśnie świadkami, nas obroni, jest iluzją, która już raz przyczyniła się do naszej klęski we wrześniu '39. Choć obecna destabilizacja niesie bardzo wiele poważnych zagrożeń dla Polski, wolę ją postrzegać jako szansę, na miarę tej, którą nasi przodkowie otrzymali u schyłku I wojny światowej, wybijając się na niepodległość.

Gdyby I wojna światowa nie zniszczyła dawnego porządku europejskiego i światowego, zapewne nie byłoby II Rzeczypospolitej. My dziś już nie musimy odzyskiwać niepodległości, gdyż ją mamy, trzeba jedynie zadbać, by jej kolejny raz nie utracić. I zależy to wyłącznie od nas, od naszego społeczeństwa, narodu, ale też naszych polityków. Popatrzmy na to, co się dzieje wokół nas – Rosja jest uwikłana w dwa nierozstrzygnięte zbrojne konflikty – jeden u swych granic, drugi z dala – które rujną jej gospodarkę, co może dać impuls do destabilizacji politycznej. Zatem w nadziei na odbudowę swej potęgi, Rosja dziś słabnie i być może za jakiś czas znów będzie musiała zająć się sobą. Niemcy, typowane na europejskiego hegemonia (przypomnijmy sobie hołd berliński ministra Sikorskiego), spowodowały własną decyzją gigantyczny kryzys społeczny, rozlewający się po całym kontynencie. Nie ma, co trzeba stwierdzić, dobrego rozwiązania tego kryzysu. Można więc powiedzieć, że Niemcy osłabiły się, przynajmniej w tej chwili, same i muszą poszukiwać drogi wyjścia z kryzysu.

Zanim obaj nasi sąsiedzi pokonają kryzysy, które sami sprokurowali, minie trochę czasu. Aby nie zajmować zbyt wiele miejsca powiem tak: w 2025 roku Europa może być podzielona między niemiecką i rosyjską

strefę wpływów, z linią podziału przebiegającą wzdłuż Wisły, Odry lub Bugu, w zależności od szczegółowego rozdania. Do tego czasu Stary Kontynent może też być świadkiem okrucieństw dobrze znanych z dzisiejszego Bliskiego Wschodu. Ale w 2025 roku może to być też kontynent współpracy między demokratyczną, pokojową i dobrze prosperującą Rosją, stabilnymi Niemcami (szanującymi i rozumiejącymi interesy swoich bliskich sojuszników) a silnym, demokratycznym, niepodległym i bogatym państwem polskim.

Polska będzie mogła zyskiwać na korzystnej współpracy z każdym z jej sąsiadów, a polscy obywatele staną się dumni z bycia Polakami i Europejczykami. Zastanówmy się, w której rzeczywistości chcemy się znaleźć i zrobmy wszystko, by tak było. Pamiętajmy jednak, że nikt nam niczego nie poda na tacy i do wszystkiego musimy przyczynić się sami – zarówno naszymi działaniami, jak i ich brakiem.

Z prof. Ryszardem Machnikowski rozmawia Jan Czerniecki